



O ZNACZENIU WYKOPALISK.

Umysł ludzki zawsze trudził się nad poznaniem życia wraz ze wszystkimi jego przejawami, ale nie wystarczała mu znajomość teraźniejszości, zwrócił więc swe wysiłki ku przeszłym formom życia i usiłuje poznać jego rozwój. Przeszłość odległych naszych przodków poznajemy głównie na mocy znalezisk—bądź kostnych, bądź szczątków kultur ówczesnych. Najczęściej trafiają nam w ręce szczątki jakiegoś przedhistorycznego, czy nawet kopalnego człowieka, a przypadek zrzęda zazwyczaj, że znajdujemy ślady kultury ówczesnych ludzi w postaci narzędzi, naczyń lub ozdób. Szczątki ludzkie pozwalają na wyrobienie sobie pojęcia o tem, czem był człowiek ubiegłych epok archeologicznych, jako gatunek zoologiczny, znajduwane zaś wytwory rąk jego są dokumentami jego życia, pouczającymi nas o umysłowości ówczesnego człowieka, względnie o zewnętrznych przejawach jego życia. To też wykopaliska archeologiczne, zarówno jak antropologiczne, są cennym materiałem do wyjaśnienia zamierzchłej przeszłości rodzaju ludzkiego, tem cenniejszym, że najczęściej tylko przypadek daje je w ręce ba-

daczom, którzy potrafią taki materiał należycie zużytkować, a wiele wykopalisk marnuje się nawet u tych, co je rzekomo zabezpieczają od zniszczenia. Amatorzy-zbieracze uważają za swój święty obowiązek wydrzeć ziemi zachowane w niej zabytki i kości, a czyniąc to nieumiejętnie, niejednokrotnie pozbawiają wydobyte okazy wartości naukowej. Częstokroć ułożenie szkieletu w ziemi posiada donioślejsze znaczenie niż sam szkielet, a kawałek skorupy z ornamentem więcej mówi, niż pozornie okazałe naczynia. To też prowincjonalni zbieracze lepiej przysłużą się nauce, zawiadamiając uczonych lub instytucje naukowe o miejscach, w których można coś wykopać, niżeli gdyby sami rujnowali jakieś okazalsze cmentarzysko; w razie zaś gdyby zawodowi uczeni nie mogli się tem zająć, należałoby przynajmniej dokładnie odrysować wzajemne położenie zabytków. Nie koniec jednak na tem. Przedmioty wykopane winny być przesłane do właściwej instytucji (u nas np. Komisji Fizyograficznej Polskiego Tow. Krajoznawczego), ażeby tam mogły być zużytkowane dla nauki. Losem wykopalisk u nas



nie troszczono się zbytnio, natomiast w innych państwach są one zabezpieczone prawem. W zeszłorocznym roczniku „Ziemi“ znajdują czytelnicy wiadomość o tem, jak zabezpiecza Argentyna swoje wykopaliska, tutaj nadmienię dla przykładu, jaki stosunek pod tym względem panuje we Włoszech. Uzyskawszy pozwolenie na rozkopanie jakiegos grobu czy grodu, wolno jest zabierać sobie i wywozić zagranicę tylko takie przedmioty, jakie znajdują się w muzeach krajowych, przedmioty zaś niezwykle lub po raz pierwszy znalezione zabierają muzea miejscowe, wynagradzając zbieracza za konfiskatę odpowiednią ilością okazów przez nie posiadanych, a znajdujących częściej. Ażeby zbieracze nie nadużywali pokładanego w nich zaufania, muzeum deleguje na swój koszt specjalnego urzędnika, który jest obecnym w czasie poszukiwań.

Jeżeli jednak wykopaliska człowieka i jego kultury zwracają uwagę tych osób, które przypadkowo się z nimi zetknęły, to szczątki życia roślinnego i zwierzęcego z ubiegłych epok geologicznych znacznie mniej interesują ogół, a przez to marnują się jeszcze częściej. Ponieważ paleontologia jest nauką bez porównania mniej znaną niż archeologia, przeto dłużej zajmę się wyjaśnieniem roli, jaką odgrywają skamieniałości w nauce o przeszłości życia i przeszłości ziemi.

Niejednokrotnie zauważyliśmy, jak zafane i bezsensowne poglądy, które zostały dawno porzucone przez naukę i ludzi wykształconych, jakby cudem przeżywają całe wieki i błakają się wśród warstw nieoświeconych i pseudo-inteligentnych.

Oto np. często słyszymy (nawet od osób, dla których kultura nie jest obca), że pewne najpospolitsze skamieniałości a mianowicie *belemnites* lub „strzałki piorunowe“ utworzyły się dzięki stopieniu piasku

przez piorun; są i tacy, co twierdzą, że wogóle wszystkie skamieniałości są rzeczowymi dowodami biblijnego potopu, jaki rozniósł wszędzie szkielety, kości i muszle „przedpotopowych mieszkańców ziemi.

A tymczasem, jak wiadomo, minęło już z górą sto lat od chwili, gdy nauka porzuciła obce jej poglądy, nabyte w przesądnym scholastycznym średniowieczu, zarówno jak zapatrywania autorów starożytnej Grecji. Były to oryginalne poglądy! Powstanie skamieniałości przypisywano działaniu nieznaney „siły plastycznej“ (*vis plastica*) na „soki kamienne“ ziemi; tajemniczemu wpływowi gwiazd, wiatrowi, który wiejąc z morza płodził te „kształtne“ kamienie; „igraszkom przyrody“ (*luxus naturae*) i jej nieudanym próbom tworzenia nowych istot. Ci zaś, którzy skamieniałości uznawali za utwory pochodzenia organicznego, (dzięki ich wielkiemu podobieństwu do żywych istot morskich) sądzili, że mają do czynienia z niedorozwiniętymi zarodkami organizmów morskich, powstałymi w ten sposób, że wiatry porywały wraz z parą wodną jaja zwierząt morskich i niosły je na ląd, gdzie zaczęły się one rozwijać.

Ale po wielu wiekach zastoju niezależne badania naukowe znów zyskały prawa obywatelstwa; porzuciwszy zapyłone dzieła pisarzy średniowiecznych, ludzie zaczęli prowadzić badania na drodze ścisłej indukcji. Odrazu odrzucono przesady, odrazu też ściśle stwierdzono to, co znacznie wcześniej przewidział genialny umysł Leonarda da Vinci — to, że skamieniałości są bezwarunkowo szczątkami zwierząt i roślin, jakie zamieszkiwały ziemię w niższych okresach jej dziejów. Przytem okazało się, że większość skamieniałości nie odpowiada formom obecnie żyjącym, lecz wymarłym, zupełnie zeszłym z widowni życia.

C. D. N

Stanisław Lencewicz.





ZBIORY POLSKIE.

6)

Zbiory graficzne Dom. Witke-Jeżewskiego w Głębokiem.

Wiedząc, że w drugiej połowie XVIII w. miechowici wystawili tu kościół, w którym „bogactwo ornamentów i misterne wykończenie szczegółów nadawać ma temu zabytkowi niepospolitą wartość“¹⁾, przedewszystkiem kroki swe skierowałem w stronę świątyni, tem bardziej, że i serce, nieostygłe na punkcie wiary, domagało się tego.

.....

Daleko stąd, hen na wschód, w ziemi zwanej lidzką, w zapadłej mieścinie Różance, przed laty 35 żył, był pleban, starzec wielce oryginalny, o czynach którego rozprawiły chaty, dwory i zaścianki po całym powiecie. Zwalczywszy przy pomocy smoly i różeg w parafii rozpustę, ks. pleban do herostratesowej zaczął wzdychać sławy i z łatwością ją pozyskał w sposób jako niżej. Na strychu zamkniętego klasztoru pijarów w pobliskim Szczuczynie, od lat kilkudziesięciu leżało trzydzieści obrazów, między którymi sześć było arcydzieł szkoły włoskiej, szacowanych przez znawców na tysiące rubli. Obrazy te, na mocy uzyskanego pozwolenia, ks. pleban w ścisłej tajemnicy sprowadza do Różanki, a że jak mówił, były „brudne, smoluchy i bardzo wyblakłe“, daje wszystkie do odnowienia lakiernikowi z miasteczka, który bryczki i powozy sąsiadom moim stale tu malował. Wziąwszy od sztuki po 15 złotych, „artysta“ ów prędko nad podziw, bo we dwa miesiące, odnowił wszystkie z taką precyzją, że się już niczem nie różniły od słynnych arcydzieł częstochowskiej szkoły; a ku większej radości Herostratesa w sutannie, p. Józef i ramy wszystkie w tej cenie pozłocił „niegorzej niż w Wilnie“!

.....

I dalibóg, zmierzając do owej świątyni, do mniemanej ozdoby prastarego grodu, położonego nad królową rzek naszych, nieopodal stolicy, w środku Europy, spodziewałem się ujrzeć wiele piękności, ujrzeć wszystko, tylko nielakierniczo-oryginalne odnawianie na sposób różankowski!

Przestąpiwszy próg kościoła, którego piękna fasada poważnie mnie nastroiła, na samym zaraz wstępie, w kruchcie, olśniony wesołemi barwy, całkiem oniemiałem. Z natury swej bę-

.....

dąc więcej wrażliwym niżeli potrzeba, już przy pierwszym spojrzeniu ręka, wodą święconą zwilżona a do czoła wzniesiona, bezwiednie mi opadła i z pewnością, że prędzej jeszczebym się stąd wyniósł aniżeli wszedłem, gdyby oko moje nie padło na malowidło ścienne, ku któremu, nie bez wahania, w obawie ponownego rozczarowania, niepewne skierowałem kroki. Niestety, przecucie złowrogie i tu mnie nie zawiodło, miał bowiem starego fresku, ujrzałem malowidło świeżutko wykonane przez „artystę“, pochodzenie którego nie podlegało najmniejszej wątpliwości. Scena, o ile zapamiętałem, przedstawiała wszystkie stany, korzące się u stóp Matki Boskiej i być może, że na ścianie jakiegoś kościółka wiejskiego w Westfalii lub Bawaryi typy te jeszczeby uszły, ale tu, wśród tej ziemi mazowieckiej, wrażenie sprawiały ohydne. Zbytecznie chyba opisywać jaskrawe szlaki i lamperye, szpetne baniaste kinkiety, lustra tandetne i zegary; poco czytelnikowi krew psuć i sobie i słowami sarkazmu gryzącego dotykać świątynię. O wszystkim, „jak o Ryczywole, zamilczeć wolę“, to chyba nadmienając, że gdy wzrok mój ogarnął wnętrze, wnet mi się przypomniała i owa w dzieciństwie widziana sala „pod trzema murzynami“ i jakiś w Grodnie klub oficerski, do którego znacznie już później zajrzał przez otwarte okno i wreszcie sala koncertowa w Mińsku i tancbuda białostocka, tylko nie kościół, nie poważny dom modlitwy, nie przybytek boży!....

Niepohamowanym oburzeniem wybuchłem w Nowogródku na widok ohydnie sprofanowanego wnętrza Witoldowej fary, na widok nurzającej się w kale i deptanej przez trzodę historycznej płaskorzeźby, przedstawiającej ośmiu rycerzy poległych pod Chocimem, z nagrobka Rudominy. I nie dziw, że na widok podobnego świętokradztwa zatrzęsły się we mnie wszystkie trzewia, nie dziw, że groził wysłaniem depeszy do metropolity hr. Szembeka, przekleństwem, napiętnowaniem publicznem. I można się tu było od oburzenia powstrzymać, kiedy obojętność posunięta była do tego stopnia, że w parafii ludnej, intratnej, przez lata całe nie znaleziono środków na kupno setki cegieł do zamurowania otworu, przez który do świątyni tak dla nas pamiątkowej, zachodzono niby do ustępu!...

¹⁾ Ob. „Słownik Geograficzny“, t. XIV, str. 151.



W Nowogrodzku oburzenie było szczere, było prawdziwe i całkiem uzasadnione, natomiast w Wyszogrodzie żal mi jeno bezbrzeżny ścisnął serce, i gdym z głową spuszczoną przed wyjściem zatrzymał się w kruchcie, westchnąłem do Boga, aby wybaczył owemu „restauratorowi“, bo z pewnością chyba „nie wiedział co czynił“. A rozżalenie moje tem większe było, gdym zaszedł do poblizkiego kościoła niegdyś franciszkańskiego, za czasów pruskich oddanego luteranom, w którym, ku niemałemu zdumieniu, znalazłem wszystkie dawniejsze zabytki z pietyzmem zachowane.

W tymże jeszcze dniu, płynąc w stronę Płocka, długo w noc myślałem nad mocno chromającym dozorem artystycznym w naszych dyecezyach. Zapewne, że nie łatwo

o takich kapłanów-estetów jakim był] Sołtyk, ks. biskup siewiersko-krakowski, lub za mej już pamięci w Sandomierzu ks. prałat Melchior Buliński, a po nim ks. biskup Sotkiewicz, którzy w kler młodszy zdolali zaszcześcić tak wysoką kulturę estetyczną, że nigdy o profanacyi słyhać tam nie było i dyecezyę sandomierską śmiało można było za przykład stawiać wielu innym. Co do artystycznej strony wychowania w seminariach naszych, ze wstydem przyznać się muszę, że nie mam o niej pojęcia, zaszczeplenie jednak poczucia estetycznego jest na gwałt potrzebne, gdyż bez niego alumni, a in-spe jedyni opiekunowie nieoszacowanych skarbów sztuki, znajdujących się w świątyniach naszych, bardzo się często przedzierzgają w szkodne szczury, móle i psotne podjadki.

C. D. N.

M. Federowski.



Z wycieczek po Galicyi.

Prawie równocześnie z nadejściem zawsze upragnionej wiosny rozlegają się wszędzie, tak między młodzieżą szkół średnich jak i uniwersytecką, a nawet wśród członków starszego społeczeństwa głosy: „W góry!... w góry!...“ Bardzo bowiem rozpowszechniło się i silnie zakorzeniło przekonanie, iż terenem godnym wycieczek kilku lub kilkunastodniowych są wyłącznie góry, okolice zaś nizinne „to nic ciekawego“.

Nie można zaprzeczyć, że dla jednostek szukających niecodziennych wrażeń i piękności przyrody, góry przedewszystkiem są miejscem, dającym je prawie na każdym kroku; dalej, że dla zajmujących się przyrodoznawstwem góry są najwzajemniejszym może polem badań, a nie brak tam też i materiału dla badaczy swojskiej sztuki, czego dowodem są oryginalne style: zakopiański i huculski. Ale nie powinno się znów zupełnie pomijać i zapominać o równinach tak Galicyi, jak i innych ziem Polski, na których odgrywało się przeważnie życie narodowe i kulturalne ojców naszych. Pozostawiło ono po sobie tyle wspomnień, połączonych z pamiątkami i zabytkami po przodkach, że bez poznania ich niemożliwością jest bezmała ogarnąć dzieje ojczyste i sięgnąć w głąb duszy narodu. Nie można też utyskiwać na brak charakterystycznych dla okolic nizinnych piękności.

Mamy przecież tak wiele wprost wspaniałych krajobrazów, tyle, jeśliby chodziło tylko o piękność, romantycznych i pełnych powabu zamczysk lub różnych innych dzieł rąk ludzkich i natury. Stwierdzają to zresztą zamieszczone w każdym numerze „Ziemi“ opisy i krajobrazy—właśnie przeważnie okolic niegórskich.

Królestwo Polskie, Litwa, Pomorze są dziś wcale dobrze znane z opisów wycieczek lub z monografii poszczególnych okolic, tak, iż można wyrobić sobie pojęcie o wyglądzie i zabytkach ziem tamtejszych, Galicya jednak niestety nie może poszczycić się pracami historyczno-krajoznawczymi. Dlatego też chciałbym wykażać choć tak bardzo nieznaczny okruszek, że i jej równiny zawierają ciekawe i rzucające światło na przeszłość zabytki historyczne, przyrody i sztuki.

Najliczniejszymi bezprzecznymi zabytkami na terytorium Galicyi są kościołki i cerkwie drewniane. Nietylko ich wygląd zewnętrzny wzbudza ciekawość i przedstawia wartość naukową, ale także licznie częstokroć nagromadzone starodawne obrazy, rzeźby lub rękopisy, pozostające tam przeważnie od czasów zbudowania świątyni, a nierzadko przekazane z odleglejszej jeszcze przeszłości.

Cerkiew w Obroszynie (pow. gródecki)



zwraca na siebie uwagę właśnie z powodu mieszczących się w niej zabytków malarstwa i rzeźby. Strukturę jej zaliczyć należy do powszechnego w okolicy Lwowa typu jednobaniastego; posiada tylko oryginalne, rzadziej występujące „krylce“ przed wejściem głównym. Po lewej stronie drzwi wchodowych widnieje wyryta na płazie data zbudowania: „A. D. 1752“, a po prawej „R. P. WAŻONA Junij dnia 18“. Przy dokładniejszym wszakże obejrzeniu wnętrza wpada w oczy płaskorzeźba w drzewie, umieszczona wysoko na ścianie nawy głównej; przedstawia ona „Wskrzeszenie Piotrowina“, motyw rdzennie polski. Pochodzi więc z kościoła, podobnie jak barokowy, pięknej snycerskiej roboty ołtarz w cerkwi w Żyrawce (pow. lwowski). Patronem cerkwi w Obroszynie jest św. Dymitr, którego wizerunek, malowany na desce, użyty jest jako antepedium bocznego ołtarzyka. Obraz ten z połowy XVII w. przedstawia świętego jako młodzieńca z kopia w jednej, a z krzyżem w drugiej ręce, o rysach wydłużonych, starannie wykończonych. Ciekawy pod względem ikonograficznym, posiada też pewną wartość artystyczną. Zniszczył go niestety kościelny, obciążwszy z dwu stron, ażeby mógł włożyć w gotowe ramy, mniejsze od obrazu.

Obok cerkwi stoi drewniana dzwonnica w tak nieznacznej od niej odległości, że dotyka prawie „krylca“. Dzwonnice służyły dawniej nie tylko do pomieszczenia dzwonów, lecz również jako obronne baszty w razie potrzeby, zwłaszcza w czasie napadów tatarskich. Ludność bowiem wiejska, chcąc bronić siebie, swego dobytku i domu Bożego, chroniła się na wzgórzu cerkiewne. Tu z za muru lub ostrokołu cmentarnego, do którego przytykała zazwyczaj dzwonnica, odpierała wroga, ufając w pomoc Bożą. Taką rolę odgrywała dzwonnica, budowana na kształt baszt zameczków drewnianych i tradycyjnie przybierająca postać do nich zbliżoną. Formy jednak występujące w różnych stronach Galicyi są dość różnorodne. Jedne w kształcie graniastosłupa, na piętro wysokie, oszalowane deskami, z oknami u góry, są pokryte dachem czterookopowym (np. w Obroszynie¹⁾), inne zbliżone do ostrosłupa ściętego z nasadzoną czworoboczną głowicą o czterookopowym dachu (np. w Prusiku pow. sanocki) lub z kopułą (np. w Piątkowej).

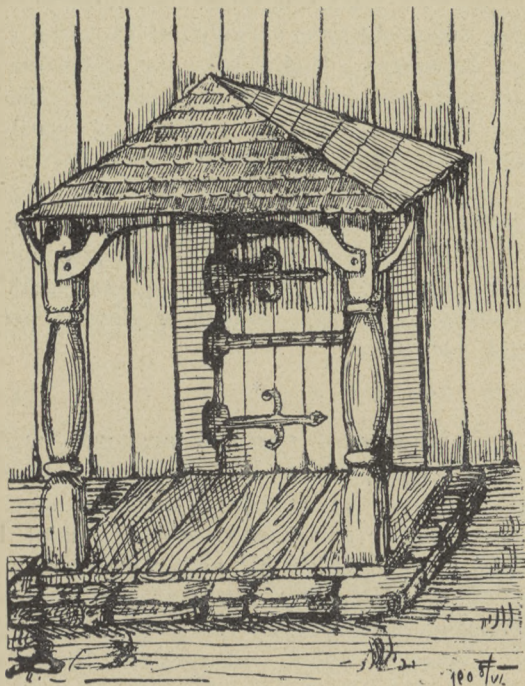
We wsi Piątkowej (pow. dobromilski) wznosi się majestatycznie nadzwyczaj kształtna cerkiew drewniana. Piękniejszej nie widziałem nigdzie podczas wycieczek po Galicyi. Zbudowana w r. 1732, ma trzy nadzwyczaj zgrabnie uwypuklone banie, opatrzone „latarniami“ u góry. Poddasze wsparte na słupach murowanych, rodzaj t. zw. „sobót“, dopełnia powabu świątyni. Nie zachodzi przynajmniej obawa zburzenia jej, tak bardzo obecnie grożącego zabytkom przeszłości, gdyż jest „okiem w głowie“ pobożnych parafian.

*

Nieświadomość wartości naukowej wszelkiego rodzaju pozostałości po przodkach daje się już odczuć od dawna; ustawicznie słychać narzekania, że zniszczono zabytek mniej lub więcej cenny. Ofiarą jej padł również niezwykle ciekawy kamienny posąg przedhistoryczny, znaleziony około połowy ubiegłego stulecia we wsi Łopusznej (pow. rohatyński). Kiedy się o tem miejscowy ksiądz dowiedział, rozkazał rozbić figurę i na pozostałej części postawić krzyż, chcąc może tem wyrazić zwycięstwo Chrystusa nad pogaństwem. Jak wyglądał, czy nosił na sobie jakie napisy, tego obecnie nie wiemy, lecz z zachowanej podstawy z wykutymi z dwu stron nogami, można się domyślać, że posiadał dwie lub więcej twarze, słowem, mógł być drugim „Światowidem“, podobnym do znalezionego w Zbruczu. Autentyczność tego ostatniego była dość długo kwestyonowana, jednak w końcu przyznano mu prawdziwość. Jak się okazało z badań prof. W. Demetrykiewicza¹⁾ należy zaliczyć go do grupy t. zw. „bab“ kamiennych, rozproszonych głównie po wschodniej Europie i na stepach azjatyckich. Pomniki owe, niezdarnej roboty, przedstawiają w Europie przeważnie postać kobiecą, która trzyma puhar lub róg oburącz, w Azji zaś zwykle mężką z takim samym atrybutem. Na niektórych statuach istniały jakieś napisy, podobne do północno-germańskich znaków runicznych. Nie wiadano z początku, co one mogą znaczyć, dopiero w roku 1893 odczytał je uczoney Tomsen i orzekł, że są to napisy ułożone alfabetem, pochodzącym z pisma staro-syryjskiego, w dyalekcie plemion turskich, po których też pozostały. Na podstawie podobieństwa azjatyckich posągów

¹⁾ Zauważyć należy, że dzwonnica ta była przebudowana, o czem świadczy tabliczka na niej przybita z napisem: „Siju zwonnyciu zrestaurował T. Bałda 1891“.

¹⁾ Dr. Włodzimierz Demetrykiewicz. Figury kamienne t. zw. „baby“ w Azji i Europie i stosunek ich do mitologii słowiańskiej. (Odbitka ze „Sprawozd. Akad. Um. w Krakowie wydziału filozoficznego, 1910 r.“).



„KRYLICE” I DRZWI CERKWI W OBROSZYNIE. fot. Wł. Antoniewicz.

z naszymi — z których prócz „Światowida” z rzeki Zbrucza i rysunku „baba” lwowskiej w Pauli Żegoty „Starożytnościach galicyjskich” (Lwów 1840), nie zachował się żaden — i z innymi wschodnio-europejskimi, wywnioskował dr. Demetrykiewicz, że są pamiątkami plemion tureckich, zwłaszcza, że znajdują się właśnie w tych okolicach, gdzie wspomniane szczepy albo przez pewien czas przebywały, lub też dokąd sięgały ich wpływy. Cennym więc dokumentem dla archeologii przedhistorycznej byłaby opisana „baba” z Łopusznej, gdyby jej nie zniszczył wandalski wprost postępki, któremu kto wie, ile ulega rok rocznie innych zabytków.

*

O trzy mile od Lwowa, niedaleko gościńca rohatyńskiego sterczy imponująca wieża na stromym pagórku, należącym do gruntów wsi Pietniczan. Rozmaite baśnie prawi lud o niej; opowiadają, iż jest szczątkiem olbrzymiego miasta, sięgającego od Lwowa do Rohatyna, że wznosił się tu zamek, który się zapadł, grzebiąc wraz z sobą nieprzebrane skarby (znaleźli się nawet poszukiwacze pieniędzy, kopiąc jamy po pod fundamenty), wreszcie, iż była to strażnica przeciw Turkom i Tatarom; może i dlatego nazwano ją „basztą turecką”. Stał tu rzeczywiście zamek możnych Sieniawskich, zmieniony potem na klasztor bazylikański. W r. 1724 — wedle jedynej notatki o rewizji ihumenów —

został zniesiony za karygodne prowadzenie się mnichów. Pierwotna baszta zamkowa służyła za dzwonnice i ta tylko zachowała się do chwili obecnej, gdyż monaster powoli rozbierany na budulec, znikł wkrótce z powierzchni ziemi. Wieża zaś na piętro wysoka, z ciosowego kamienia, z pięknymi ostrołukowymi wchodami, uniknęła nieszczęsnego losu monasteru wskutek opieki starostwa w ostatnich latach, popieranej karą pieniężną za jakiegokolwiek uszkodzenie.

Zwróćmy się jednak w inną stronę i znajdziemy się myślą daleko hen na Podolu, na zupełniej prawie płaszczyźnie, przetrniętej srebrzystą wstęgą wspaniałego Dniestru, największej rzeki Galicji wschodniej. Obok Dniepru jest on tem dla Rusinów, czem Wisła dla nas Polaków, a Niemen dla Litwinów. Już z daleka błyszczą się w złocistych promieniach słońca węzłowa linia wody na tle poczerwiałych pól i zielonych łąk, gdzieś tylko przerwana brązową plamą — wyspą. Na niebardzo długiej przestrzeni od Halicza w stronę Maryampola brzegi Dniestru są łagodne, płaskie, z rzadka porośnięte wikliną, a nurty spokojne, cicho szemrzące. Lecz dość udać się parę mil w dół rzeki, aby podziwiać strome, gliniaste urwiska, barwy czerwonej lub brązowej, w których ręce przyrody i czasu wyrzeźbiły niewielkie, ale piękne w swym rodzaju komory i grotty. „Mimowoli nasuwają się analogie. Przypomina się jazda Dunajcem przez uroczyska Pieniny, przypominają się obrazy z nad Renu. Reńskim słynnym widokom nie ustępują dniesrowskie zupełnie, a zamki zastępują u nas grotty”.

I tak ustawicznie zmieniają się obrazy, jakby za dotknięciem różdżki czarodzieja: to wyrastają i piętrzą się sfałdowane i poszarpane brzegi jaru, to znów łagodne, lekko sfałdowane wzgórza, to wreszcie nieznacznie zarysowane wzniesienia, lecz wszystko razem tworzy tak ujmującą całość, że parogodzinny nawet marsz nie męczy wędrującego. Na płaszczyznach zaś, ciągnących się wzdłuż brzegów Dniestru, rozłożyły się prawie nieprzerwanym łańcuchem wieś po wsi, nad którymi tu i tam wznoszą się ruiny niegdyś potężnych zamków.

Taką też była warownia w Rakowcu¹⁾ nad Dniestrem za czasów Jana Sobieskiego. Zbudowana na początku XVII w. przez Dominika Bieniewskiego, przechodziła różne koleje losu. Niedługo po swym powstaniu dzielnie stawiała

¹⁾ Dr. A. Czołowski. Dawne twierdze i zamki na Rusi halickiej (przegląd). „Teki konserwatorów Galicji wsch.,” t. I, Lwów 1898, str. 104.



opór oblegającemu ją w r. 1657 atamanowi kozackiemu Antonowi, który ciągnąc wzdłuż Dniestru na pomoc Rakoczemu, pokusił się o zdobycie tego, jednego z najlepszych zamków na Podolu; ale nadzieje zawiodły go, gdyż straciwszy dość wiele wojska był zmuszony zaniechać swego zamiaru. Przerwaną wskutek najazdu kozackiego budowę ukończono w trzy lata później, o czym świadczy napis na tablicy do dziś zachowanej nad bramą wjazdową:

MAGNIS AUSPICIIS MELIORI FORTUNA
BONO EXIIT MAGNIFICUS ET GENEROSUS
DOM. OLBRECHTUS de BIENIEWIE BIE-
NIEWSKI POCILLATOR TERRAE HALICIEN-
SIS HOC OPUS UNIVERSUM PROPRIIS
SUMPTIBUS SERVIENTIBUS PROTANE PA-
TRIA DOMESTICIS ET OXOTICIS BELLIS
AD DEI GLORIAM, DEFENSIONEM EXTRU-
XIT. ANNO DOMINI 1660.

Z dalszego napisu pozostały tylko słowa:
(DEFENSI)ONE CATHOLICA TURCARUM
TARTHARORUMQUE...

Niedługo jednak cieszone się błogim spokojem. W dziesięć lat po najściu kozaków napadła nań w r. 1667 nawała tatarska i tylko dzięki otrzymanej odsieczy zamek ostał się przy polakach. W kilka lat potem w r. 1672 został zdobyty przez przeważające siły tureckie, lecz wkrótce się z ich „opieki“ wyzwolił, by znów w r. 1676 być przez nich złupiony. Odbudowany służył zamek rakowiecki od roku 1685—1691 podczas wojennych wypraw Jana III na Wołoszczyznę za skład żywności, a u stóp jego na Dniestrze urządzono stację galarów. Wskutek tego był tłustym kąskiem dla wszelkich zgrai rozbójników kresowych, a nawet dla przeciągających chorągwi tak polskich, jak obcych, które ustawicznie miejscowość tę trapiły. Forteczka, spalona w czasach konfederacji barskiej, nie podniosła się już więcej.

Do dni dzisiejszych pozostały mury obwodowe od strony północnej i brama wjazdowa ze śladami mostu zwodzonego, znajdująca się w baszcie na piętro wysokiej; otwory bramy są półkoliste, podsień beczkowato sklepiona, a obramienia, widocznie ciosowe, wydarto. Po domach mieszkalnych sterczą tylko dwa duże kominy, a o kaplicy świadczą nieznaczne już resztki. Względnie dobrze zachowała się jedynie potężna czworoboczna cztery piętra wysoka baszta, u stóp której widać otwory zapadłych podziemi. Opatrzona strzelnicami stanowiła najważniejszy punkt w razie napadów, tem niebez-



fort. Wł. Antoniewicz.

DZWONNICA W OBROSZYNIĘ.

pieczniejszych, że zamek leżał u stóp dość wyniosłej góry, dominującej nad całą okolicą.

Wprawdzie wschodnia połać kraju, narażona na ustawiczne, niespodziewane napady, była najlepiej zaopatrzona w zamki, jednak spotykamy je także i w innych częściach Rzeczypospolitej, zwłaszcza na traktach, prowadzących z państw sąsiednich. Na drodze handlowej z Węgier do Małopolski stał właśnie zamek w Odrzykoniu, dawniej Kamieńcem zwany. Wzniesiony przez Kazimierza Wielkiego przeszedł przez wiele rąk jako darowizna królewska. Pierwszymi jego panami mienili się Krzemienieccy do r. 1528. Następnie przeszedł w ręce możnej rodziny Firlejów, która go dzierżyła aż prawie do końca XVIII w., do oddania Odrzykoniu Michałowi Jabłonowskiemu, jako wiano córki Werenny. Po nich odziedziczyła wreszcie całą tę posiadłość Zofia Starowiejska i ta go do dziś dnia posiada¹⁾. Ważniejszej roli historycznej nie odegrała warownia odrzykońska, służąc tylko jako strażnica przeciwko wszelakim łotrzykom, niszczącym ogniem i mieczem bogate i gęsto rozrzucone wioski okoliczne.

Po potężnym niegdyś zamku, zbudowanym na litej skale wapiennej, pozostały tylko dwa kompleksy murów i nawpół zwalona baszta.

¹⁾ Dokładne dane histor. podaje ks. Garna w „Opisie pow. krośnieńskiego“. Przemyśl, str. 372—381. Stamtąd też wzięłem niektóre fakty do dziejów fary w Krośnie.



KAPLICZKA W KROŚCIENKU WYŻSZYM. fot. Wł. Antoniewicz.

Ruiny, o nadzwyczaj romantycznym wyglądzie, zamieszkiwał przez pewien czas obląkaniac Marchwicki — „Król zamczyska“ Goszczyńskiego, wskutek czego zwaliska cieszą się zasłużoną sławą i są celem licznych wycieczek.

*

Na wschód od zamku odrzykońskiego sterczą wśród lasu nieliczne wprawdzie, lecz niezwykle skały. To „Prządky“. Wskutek erozyi przeobraziły się w kształty, zbliżone nieco do ludzkich. Wystarczyło to jednak, aby pobudzić bujną fantazyę ludu do stworzenia następującego podania. Było to w czasach, kiedy dziewczyna, chcąc wyjść za mąż, musiała uprząść nici na odzież ślubną. W dwu siostrach, mieszkankach Odrzykononia, zakochali się żołnierze królewscy, którzy jednakowoż musieli udać się przed ożenkiem na wojnę. Po jej ukończeniu namówiła matka swe córki, by nie tracąc czasu przędły w wielki czwartek, iżby ślub odbył się zaraz po powrocie narzeczonych z wyprawy. To znieważenie święta tak rozgniewało Matkę Boską, że bezbożne niewiasty wraz z kądziałami przemieniła w kamień, i dlatego lud nazwał je „Prządkami“.

Skąd wzięta się w okolicy nieskalistej ta grupa skał wapiennych, tego jeszcze nie wyjaśniono. Na szczęście ludność okoliczna nie niszczy pięknej osobliwości przyrody, wierząc w jej nadprzyrodzone pochodzenie.

*

Idąc z Odrzykononia drogą przez Korczyńkę i Krościenko do Krosna, widzi się mnóstwo kapliczek na słupach przy każdej chacie, na wynioślejszych pagórkach, lub na okazalszem drzewie. Najczęściej spotyka się je z siedzącym, zupełnie obnażonym Chrystusem, z głową ciężko wspartą na prawej dłoni. Jest to typ istniejący także na Żmudzi, (zwany tam „Smutkielisem“) na Podhalu, pod Krakowem, w Tykocińskim i w innych stronach kraju naszego; był niegdyś rozpowszechniony w całej Polsce pod nazwą „Chrystusa frasobliwego“. „Dotąd nie mamy dowodów, by typ ten znajdował się gdzieś poza granicami dawnej Rzplitej, i dlatego wolno mniemać, że jest on pochodzenia polskiego“¹⁾.

Obok tego rodzaju kapliczek drewnianych, występują jeszcze murowane z cegły, rzadko ze „Smutkielisem“, częściej ze św. Janem Nepomucenem w komży i stule ze złożonemi rękoma lub z książeczką. Zdarza się, że umieszczają trzech świętych obok siebie pod drewnianym daszkiem.

Oczywiście nie są to wyroby artystyczne, lecz jakkolwiek nieudolne, zadowolają pobożną lu-

¹⁾ M. Brensztajn. Krzyże i kapliczki żmudzkie. „Materiały antropolog.-archeologiczne i etnologiczne“. Wyd. Akad. Um. w Krak. t. IX, str. 12.



WIDOK NA DNIESTR Z RUIN ZAMKU W RAKOWCU.

fot. Wł. Antoniewicz.



dność, wśród której nie wkradła się tandeta pruska w postaci lichych obrazów-druków, i to daje popęd wiejskim artystom do próbowania sił w sztuce rzeźbiarskiej.

Niepoślednie miejsce pomiędzy mniejszymi miastami w Galicyi zachodniej, zajmuje Krosno. Wiele ciekawych pomników historycznych i sztuki mieści się w jego wnętrzu, które opisali: uczyony prof. Łuszczkiewicz w kilku artykułach „Sprawozd. komisji do badań hist. sztuki w Polsce“, W. L. Antoniewicz („Klasztor franciszkański w Krośnie“. Lwów 1910) i ks. Sarma który podaje co do nich szczegółowe dane historyczne.

Największą chlubą mieszczan w Krośnie jest „fara“. Kościoły w stylu gotyckim w Polsce należy zaliczyć do typu ceglano-halowego, który grupował się głównie nad dolnym Renem i w Lombardyi. Ale nie naśladowano go u nas bezmyślnie, owszem wytworzył się tu organicznie z romanizmu, do czego przyczynili się znacznie benedyktyni, cystersi i franciszkanie. Do tej grupy należała również „fara“ krosnieńska, zbudowana po pożarze kościoła, ufundowanego przez Kazimierza Wielkiego. W czasie drugiego pożaru w r. 1638 spaliła się nawa główna wraz z pobocznymi, a zachowane prezbiterium pozostało, mało zmienione, do dni obecnych; nawy zaś odbudowano, ale w stylu renesansowym. Powstała więc mieszanina gotyku i renesansu w ścisłym tego słowa znaczeniu, wywierająca zresztą na widzu naogół wcale dodatnie wrażenie. Uposażenie „fary“ było tak wielkie, że posiadała ogromne skarby w sprzętach i szatach kościelnych. Podczas wojen moskiewskich i szwedzkich musiano zna-



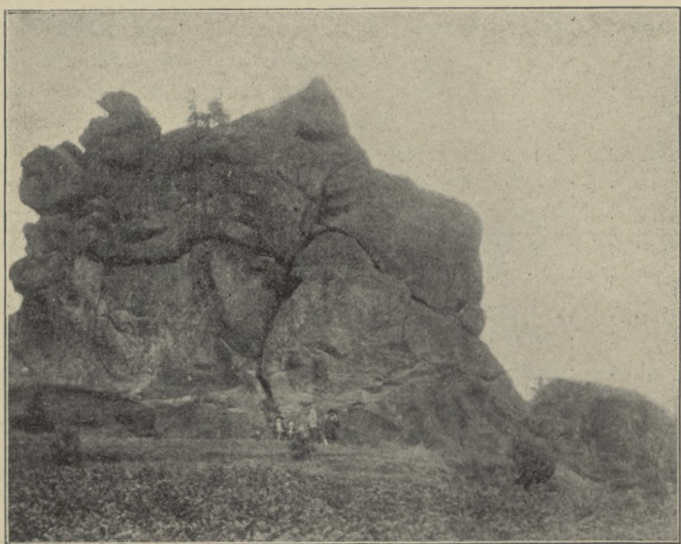
fol. Wl. Antoniewicz.

BASZTA W PIETNICZANACH

czną ich część oddać na potrzeby kraju, a resztę zagralił rząd austriacki w czasie kampanii Napoleońskiej w r. 1812 wraz z olbrzymią monstrancją, po której został futerał i odłamany krzyżyk złoty, wprawiony w nową, gotycką.

Wnętrze kościoła przedstawia się okazale. Sklepienie renesansowe, ozdobione poczęści robotą sztukatorską, ściany dokoła obwiedzione portretami dobrodziejów i znaczniejszych mieszczan Krosna, a między nimi wyróżnia się portret Władysława IV, malowany najprawdopodobniej z natury. Są jeszcze ciekawe ze względów ikonograficznych obrazy z wyobrażeniami sądu ostatecznego, nieba i piekła. Z pośród trzytnastu ołtarzy, wyróżniają się Wielki i „Ecce homo“.

Pierwszy postawiony w r. 1638 staraniem ks. Rozyńskiego, posiada antepedium, płaskorzeźbę w drzewie, przedstawiającą „Wieczerzę Pańską“. Po prawej stronie ołtarza tkwi wmurowana w ścianę płyta grobowa biskupa przemyskiego Stanisława Tarły, który zrzekłszy się biskupstwa, czy też uległszy ekskomunice, przeniósł się do Krosna, gdzie dokonał spokojnie żywota. Na czarnej marmurowej tablicy umieszczono naokoło insygnii biskupich i herbu napis:



fol. Wl. Antoniewicz.

„PRZĄDKA-MATKA“ KOŁO ODRZYKONIA.

JACET HIC RMUS IN CRO PR.
DOUS STANISLAUS TARLO PREMISEN
DIVINARU HUMANARUQ RERU PERICA
INSIGNIS.

QUI OBIT. A.

D. 1544 die 14 DECEMBER ¹⁾).

Co znaczy: leży tutaj Najprzewielebniejszy w Chrystusie Ojciec pan Stanisław Tarło Przemyski, znakomity znajomością rzeczy boskich i ludzkich, który umarł R. P. 1544 dnia 14 grudnia.

Naprzeciw powyższej tablicy wznosi się nagrobek z czarnego marmuru rodziny Skotnickich, przedstawiający rycerza w zbroi i niewiastę klęczących u stóp krzyża. Stał tu w r. 1621 ku wiecznej pamięci zapomogi wspaniałomyślnego rodu.

Drugi oltarz, „Ecce homo“ zwany, wykonany z drzewa, snycerskiej roboty, został poświęcony w r. 1633. W środku oltarza stoją dwie udatne figury — Chrystus w cierniowej koronie z palmą w ręce i Piłat ze wzniesioną w stronę Jezusa ręką, jak gdyby mówił: „Oto człowiek“. Obramowanie tej sceny tworzą obrazki męki

Pańskiej w drzewie rzeźbione, a między nimi „Smutkielis“, staropolski „Chrystus frasobliwy“. Od tak odległych tedy czasów przemawia nie szczęśliwa postać Zbawiciela do tkliwych sercubożnych!

Jeszcze jeden przedmiot wzbudza podziw widza, mianowicie cynowa chcielnica (Baptisterium) w kaplicy św. Wojciecha. Cała odlana ze szlachetnej cyny, z wyczelowanym wierzchem, opatrzonym napisem: „Robertus Portius Scotus civis crosnensis donavit 1634“, spoczywa na trzech stopniach i świadczy o dobrym smaku fundatora, wielce zasłużonego około rozwoju i dobrobytu Krosna. Oto ciekawsze szczegóły, wyróżniające się na pierwszy rzut oka, z pośród drobnych osobliwości fary.

*

Zwróćmy jeszcze uwagę na jeden rodzaj

budownictwa drzewnego, t. j. na staropolskie dworki szlacheckie. Wcześniej powstałych niż w XVII w. niestety, już niema, lecz można skonstruować ich wygląd, a to na podstawie architektury chat wiejskich, szczególnie podhalańskich, bo dwór przecież to nic innego, jak tylko znacznie rozwinięty dom wieśniaczy, na który oddziaływały nieco style historyczne, jak gotyk, renesans lub barok. Najwięcej atoli

siedzib szlacheckich zachowało się z drugiej połowy XVII w., z czasu najsilniejszego oddziaływania baroku.

Do tego wieku trzeba odnieść dworek drewniany w Bukowsku (pow. sanocki). Wprawdzie dziedzic tamtejszy twierdzi, że dworek zbudowano już w XV w., jednak mniemanie to nie może się ostać wobec takiego „corpus delicti“, jakim jest dach załamany.

Dla baroku bowiem w drzewie wyrażonego charakterystyczny jest właśnie dach łamany, który powstał pod wpływem mansardu francuskiego i odpowiednio przekształcony nosił nazwę

„mansardu polskiego“. Dom mieszkalny o konstrukcji węglowej (system d'empilage) z modrzewiu, oszalowany deskami, kryje wewnątrz iście pańskie ubikacje. Był przecież własnością Ossolińskich. Zaraz na wstępie w dużej sieni stoi łoża portyera, który oznajmiał przybycie gościa. Dalej obok kilku mniejszych pokoi, ciągnie się wspaniała niegdyś, ogromna, obecnie zrujnowana, świetlica. Ściany dawniej były drewniane, wzdłuż powały biegły potężne „tragarze“, a zamiast kamyczkowych pieców, używano kominków; teraz dziedzic, nader „ekonomiczny“, kazał ściany otynkować, kominki zamurować, aby — wedle słów właściciela — „nie kradły ciepła“, a dach pokryć zamiast gontami blachą, psując w ten sposób zarysy mansardu. Do tego doszła ignoracja i nieposzanowanie zabytków.

Przykro się robi, przechadzając się przez



TABLICA ST. TARŁY W KROŚNIE.

fol. Wł. Antoniewicz.



zapuszczone oddawna, nieoczyszczone aleje, wiodące dookoła zarosłych szuwarem i trzcina stawków. Jedno zaś miejsce specjalnie zaciekawia każdego swym oryginalnym wyglądem, mianowicie regularny czworobok lip wiekowych. To miejsce doraźnych sądów gminnych,

gdzie, po wydaniu wyroku, natychmiast wymierzano kary cielesne. I ta część nie uniknie złowrogiego losu, ma tu stanąć stajnia dla koni. Nic nie pomogą interpelacye i przestawienia, filisterstwa i niezdrowej przesiębiorczości wykorzezić się nie da.

Włodzimierz Antoniewicz.



Zwyczaje przy wypiekaniu chleba w pow. lidzkim.

Dwa lata już przeszły od czasu, gdy ś. p. Zygmunt Gloger na łamach „Ziemi“ wzywał gorąco czytelników do gromadzenia rzeczy ludowych w ogóle, a zwłaszcza do zbierania wiadomości o sposobach wypiekania chleba i o zwyczajach, zachowywanych przytem przez lud. Wzywał i zachęcał do pracy na tem polu, ostrzegając zarazem, że to, co teraz jest jeszcze dla nas dostępne, dla synów naszych będzie już zgoła niepodobne do urzeczywistnienia, a to wprost dla braku źródeł. Nie odezwał się jednak dotychczas nikt na to wezwanie, nie podjął tej sprawy, ani się nawet nią zainteresował, chociaż ma ona niemałe znaczenie dla nauki, jako że takie przyczynki mogłyby się złożyć na dokładniejszy obraz przeszłości naszego ludu, ba, nawet całego narodu. Co wieszcz nasz przypisywał pieśni gminnej, to daje się rozciągnąć na wszystko, co przetrwało w duszy ludu jako echo wieków ubiegłych. To, co dziś uważamy jako przesądne pojęcie prostaków, było niegdyś pojęciem ogólnem. Dlatego to wszystkie takie przeżytki, jakie tułają się dotychczas po wsiach, kierując zwyczajami ludu, powinny nas interesować bardzo, bo to nasze, wspólne.

Pragnąc choć w części wypełnić szeroki program zakreślony przez naszego nieodżałowanego badacza, podaję niżej trochę wiadomości o zwyczajach, zachowywanych przy wypiekaniu chleba, zgromadzonych stosownie do wskazówek, jakie znajdujemy we wspomnianym artykule ś. p. Zygmunta Glogera, drukowanym w Nr. 18 „Ziemi“ r. 1910.

Materyału do niniejszego szkicu, w większej części dostarczyli mi Ludwik Rakiej kucharz i Eleonora Szwarcewiczówna służąca,

a w części brałem go z własnych spostrzeżeń. To mi dało możność skompletowania pewnej całości w stosunku do tego przedmiotu, zarejestrowania zwyczajów, jakie zachowywał, a nawet zachowuje dotychczas lud zamieszkały w moim zakątku. Są to okolice wsi Naczy, położonej w zachodnio-północnej stronie pow. lidzkiego. Granice rozpowszechnienia spisanych przeze mnie zwyczajów mogą być jednak bardziej rozległe, bo gdzie jeden język, jednakie wpływy i pojmowanie, tam i zwyczaje mało się ze sobą różnią. W każdym razie proszę uprzejmie moich bliższych i dalszych sąsiadów, kto by w tym przedmiocie jakiegokolwiek odmienne szczegóły u siebie zaobserwował, niech raczy swemi spostrzeżeniami dokompletować moje wiadomości w tym względzie, a będę mu za to serdecznie obowiązany.

Wiązanek zebranych przezemnie wiadomości o chlebie podzieliłem — stosując się w tem do wskazówek ś. p. Z. Glogera — na następujące rozdziały: Dzieża, Przygotowywanie zboża do mielenia mąki na chleb, Rozczynianie, Piec, Chleb w piecu, Chleb upieczony, Potrawy przygotowane z rozczynu, Przesady tyczące się chleba.

Dzieża ma zwykle kształt cebra bez uszu i najczęściej jest równa, jak u góry, tak i u dołu. Rzadziej spotykają się dzieże o dnie szerszem niż wierzch; kształt ten był dawniej powszechny. Robią ją z klepek sosnowych, między którymi powinno być choć parę dębowych. Starają się też dać dno z tego drzewa. Robią to dlatego, „ażeby zakwas trzymał“. Pojemność dzieży zależy całkowicie od tego, ile w danem gospodarstwie wychodzi chleba. Najpospolitsze



wymiary oą następujące: wysokość od 0,24 m. do 0,4 m., średnica otworu od 0,36 m. do 0,5 m., średnica dna od 0,46 m. do 0,65 m. Na dzieży krzyża, ani żadnych innych znaków nie wycinają, stawiają ją tylko zwykle na t. zw. krzyżakach, t. j. na podstawie, zrobionej z dwóch listew drewnianych zbitych na krzyż. Nakrywają dzieżę wiekiem drewnianem zachodzącym na nią lub plecieniem ze słomy i łoziny, a gdy tego niema — obrusem. Dzieżę próżną do następnego pieczenia stawiają najczęściej na ławie lub na stole, przewracając niekiedy dnem do góry. Przy pierwszym użyciu nowo zrobionej dzieży, dla dania jej „zakwasu“, przedewszystkiem rozrabiają w niej mąkę żytnią wodą na t. zw. „sołoduchę“, o której powiem niżej, i stawiają w ciepłym miejscu, ażeby rozczyń dobrze skwaśniał. Gdy to nastąpi, sołoduchę wylewają i dzieża jest już gotowa do użycia, bo ma „zakwas“. Dzieży pożyczają niechętnie, gdyż są przekonani, że tylko sama gospodyni, właścicielka dzieży „zna jej narow“, t. j. umie postępować odpowiednio do jej własności, obca zaś gospodyni może dzieżę łatwo zepsuć. Złe oczy, a także dotknięcie dzieży przez zwierzęta, lud uważa za bezwarunkowo szkodliwe. Pożyczoną dzieżę odnoszą nakrytą zawsze obruską i z kawałkiem ciasta wewnątrz. Po wyjęciu z dzieży ciasta na chleb, wyskrobują ją, a następnie, ręką zwilżoną wodą, wygładzają ścianki. Niektóre gospodynie wyskrobują doszczętnie dzieżę z ciasta i nie wygładzają. Przeciekanie, jak również „zakwitnięcie“ dzieży, uważa się za szkodliwe. Gdy pora chłodniejsza, zwłaszcza w zimie, zawsze zostawiają w dzieży kawał ciasta dla zakwasu. Dzieżę zepsutą, t. j. nie mającą kwasu, „naprawiają“, wycierając ją burakiem lub cebulą z solą; następnie przewracają dnem do góry na progu chaty i nalewają na dno wody wrzącej, a czasem wbijają jeszcze nóż. Wodę po ostygnięciu wylewają za próg. W obrządkach weselnych dzieża odegrywa ważną rolę, a to przy rozplataniu kos i oczepinach panny młodej. W tym celu stawiają dzieżę dnem do góry i przykrywają kożuchem futrem na wierzchu. Na tak przyrządzonym stolcu sadzą pannę młodą. Dawniej podobno na nakrywce od dzieży podawano chleb i sól nowożeńcom — teraz jednak zwyczaj ten ustał.

Do przygotowania zboża do mielenia i mąki na chleb używa się wyłącznie żyta. Z pod cepa zboże przedewszystkiem wieją. Do tego służy narzędzie w rodzaju szufelki z krótką rączką, zwane „wiejałką“. Zastępuje ona właścicielowi arbę, której nabycie jest nieraz dla

niego niepodobieństwem. Taką „wiejałką“ robotnik, siedząc na ziemi przy kupie wymłóconego zboża, nabiera je i rzuca przed siebie, ruchem zaokrąglonym, jakby siejąc. Skutkiem takiego postępowania ziarno lepsze, jako cięższe, pada najdalej, im zaś jest gorsze, tem bliżej pada od rzucającego, najbliższej zaś posład i plewy („miękina“). Tak oczyszczone z grubszego zboże idzie na przetak, a w końcu jeszcze je „opałają“. Czynność ta polega na tem, że zboże wysypują do niecki, którą ująwszy obiema rękami za końce, potrząsają nierównym ruchem celem wydalenia ze zboża resztek kłosów, słomy, strączków groszku, etc. Po tej czynności zboże idzie do pieca, dla przesuszenia, ażeby się lepiej męło. Biedniejsi męlą zboże sami w ziarnach na mąkę grubą, razową; bogatsi wiozą do młyna, ażeby zemleć cennie, a niekiedy podsiewają nawet mąkę na sitchach.

Rozczynianie mąki na chleb odbywa się zwykle wieczorem. W tym celu część mąki, przeznaczonej na raz do wypieku, rozprawdają ciepłą wodą w dzieży, dodając często dla smaku parę garncy ziemniaków gotowanych i rozrartych z wodą. A robią to nawet w dnie święteczne, o ile tego zachodzi potrzeba, nie uważając tego wcale za grzech.

Tak przygotowany rozczyń żegnają i stawiają w ciepłym miejscu, nakrywając starannie, ażeby zakwaśniał. Gdy to nastąpi, nazajutrz robią zamies, dosypując do rozczyń mąki. Bogatsi używają w tym celu jedynie mąki żytniej, biedniejsi dosypują mąkę jęczmienną, grochową lub gryczaną, odpowiednio do tego, co jest tańsze, a nawet dodają tartych surowych ziemniaków „dla sporu“. Po wymieszaniu, która to czynność trwa zwykle godzinę, kobieta miesząca wyciska w cieście ręką dziurę, aż do dna dzieży, chucha w nią, a następnie, zagładziwszy z wierzchu, znaczy na cieście krzyż. Zaczem dzieżę nakrywa się ciepło i pozostawia do podchodzenia. Bywa czasem, że ciasto tak prędko podchodzi, iż jest obawa, ażeby nie wybiegło z dzieży, zanim piec się wypali, wówczas kładą na wierzchu czapkę męzką.

Z ciasta robią „bondy“ vel „bocheny“ podługne, a czasem okrągłe, na łopacie z drzewa sosnowego, posypanej wysiewkami mąki żytniej albo wysłanej liśćmi klonowymi lub ajerem (tatarak). Pierwszy bochenek znaczą krzyżem, wyciskając go na wierzchu. Bondy robią zwykle duże, do 20 funtów ważące. Małe bochenki zwą tu jeszcze bułkami. Z resztek ciasta, jakie zostaje po uformowaniu wielkich bochnów,



robią małe bochenki, t. zw. „pierepieczki“, a następnie jeszcze „wyskrebki“ dla dzieci.

Piec napalić na chleb nie jest rzeczą łatwą; trzeba mieć w tem „praktykę“. Nie każda umie ogień niecić nawet. Niechno zapomni przeżegnać drwa, a może się zdarzyć, że ogień z pieca wyjdzie na chatę — ot i gotowe nieszczęście! Łatwiej sobie poradzić, jeżeli piec, „popsuty przez złe oczy“, nie da się dostatecznie ogrzać. Parę łapci, znalezionych na śmietniku, wrzuconych do pieca, pomaga w tym wypadku doskonale.

Przy wsadzaniu chleba do pieca, przede wszystkim należy i chleb i piec przeżegnać. Sposobów poznawania, kiedy chleb jest już gotowy — mają kilka. Pierwszy polega na tem, że jednocześnie z wsadzeniem chleba do pieca, wrzucają galkę ciasta do kubka z zimną wodą. Skoro ciasto wypełni kubek — chleb jest upieczony. Drugi sposób: wyjęty z pieca mały bochen kładą na dłoni, a drugą ręką uderzają po tej ręce; jeżeli bochenek podskoczy, to znak, że upieczony. Trzeci sposób: przytykają nos do świeżo wyjętego z pieca bochenka — jeżeli piecze, to chleb powinien jeszcze dosiedzieć w piecu. Najprzód wyjętego z pieca bochna chleba nigdy nie krają nożem, lecz łamią, napocząwszy łyżką drewnianą lub czemś podobnem. Pierwszy bochen chleba z nowego żyta składają na ofiarę na ołtarzu.

Warunki dobroci chleba są następujące: powinien być w miarę kwaśny, pulchny i wypieczony. Taki chleb nazywają „udanym“. Chleb „nieudany“ to przekwaśniały lub niedokwaszony, zakalcowaty, z odstałą skórką i nie dopieczony. Wypiek chleba w gospodarstwach bywa nieduży. W gospodarstwach parobczanych przeciwnie, wypiekają go od razu dużo, z tem wyliczeniem, że gdy szcerstwieje, czeładź mniej go będzie jadła. U niektórych jednak gospodarzy dotychczas zachowuje się dawny zwyczaj, że chleb pozostawia się zawsze na stole, przykryty obrusem, którym stół jest zasłany. Każdy z domowych, kiedy chce, ma prawo krajać go i jeść, ile się podoba. Wogóle zaś chleb przechowuje się w komorze, a przynosi się do stołu tylko na czas śniadania, obiadu i wieczerzy.

W niejakim związku z wypiekiem chleba znajduje się przygotowanie dwóch potraw ulubionych u ludu. Są to: „soloducha“ i bliny. Pierwsza jest prawdopodobnie wspólnego pochodzenia z żurem mazurskim. Przygotowuje się następującym sposobem. Mąkę żytnią zaparzają wrzątkiem w garnku, a następnie rozprawdają zimną wodą na rzadko i wstawiają

do gorącego pieca, z którego jednak często wyjmują i mieszają dokładnie rozczyn, co trwa dopóty, dopóki nie nabierze smaku słodkawego. Gdy to nastąpi, jeżeli masa zgęstniała, wlewają do niej znów zimnej wody i wszystko to wlewają na noc do dzieży dla zakwaszenia. Nazajutrz jedzą taką „soloduchę“ z chlebem, lub ziemniakami gotowanymi, na zimno lub po silnem zagrzaniu. Bliny pieką się z rozczynu chlebnego już ukwaśnialego z dodatkiem ziemniaków lub mąki gryczanej. Do pieczenia blinów służy patelnia bez rączki, a właściwie z rączką przyczepioną, stąd i zwaną przez lud „czepiolo“. Warunek ten jest konieczny z tego względu, że bliny takie pieką się przed ciepłą palącego się pieca, trzeba więc patelnię na wszystkie strony obracać. Bliny takie jedzą z rozskwarzoną słoniną.

W pojęciach ludu chleb, jako najgłówniejsza z podstaw jego pożywienia, więc niezbędny do utrzymania życia na ziemi — od Boga pochodzi, jest darem bożym, więc jako taki go-dzien jest nie tylko szacunku, lecz i czci. Stosownie do tego pojęcia, obchodzą się z chlebem, zarówno jak i ze zbożem, z którego chleb się wypieka, z wielką — że tak powiem — ostrożnością, jakby z obawą, ażeby nieodpowiedniem postępowaniem nie zagniewać Pana Boga, w którego mocy jest dać chleb lub odebrać go ludziom. Za wyraz takiego poglądu może służyć podanie o psie, na niemą prośbę którego Bóg powstrzymał anioła obrywającego kłosa żyta (patrz „Ziemia“ r. 1911 Nr. 7). Słyszałem wersję tego podania, że Bóg postanowił ukarać ludzi dlatego, że widział, jak jakiś człowiek niosący chleb wrzucił bułkę do kałuży na drodze, ażeby po niej przejść na drugą stronę. Chcąc przeto uniknąć kary po raz wtóry, lud okazuje ten szacunek dla chleba na każdym kroku. Tak np. gdy kawałek chleba przypadkiem upadnie na ziemię, zaraz go podnoszą z największą skwapliwością, obcierają z kurzu połą sukmany i jakby przepraszając całują trzykrotnie. Okruszyn z chleba ze stołu nigdy nie wyrzucają do śmiecia, lecz zmiotłszy je starannie, albo zjadają, albo oddają „żywiole“ lub zresztą spalają. Okruszynki rozrzucone, według wierzenia ludu, pająk zbiera i po pajęczynie zanosz je aż do Boga i mówi: „Patrz Panie Boże, jak ludzie twoje dary marnują!“ A wówczas Bóg coraz to ujmuje urodzajów ludziom.

Wierząc w tak potężną opiekę nad chlebem, lud wiąże z nim wiele zabobonów, Tak naprz. chleb poświęcony w dzień św. Agaty (5 lutego) „broni od ognia chaty“. W czasie pożaru, obnoszą taki chleb dokoła płonącego

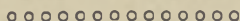


budynku, a następnie wrzucają go w płomień lub uciekają z nim w czyste pole. W pierwszym wypadku pożar się umiejscowi, a w drugim wiatr zwróci płomień w stronę niezabudowaną. Chleb poświęcony na św. Błażeja (3 lutego), ma tę własność, że dany krowie w wigilię św. Jana, broni ją przed praktykami czarownic, odbierających krowom mleko. Dziewczęta na wydaniu wierzą, że skórka chleba wycięta z tego miejsca, gdzie na bochnie znajduje się wyciśnięty krzyż, dana psu do zjedzenia, zjedna dla nich serca chłopców. Gospodarze zaś wystrzegają się zawsze, ażeby bochna chleba nie zaczynała nigdy z tego końca, gdzie są pęknięcia, bo u wołów skóra na szyi będzie pękać. Także na wieczerzę starają się nowej bułki nie zaczynać, a jeżeli zachodzi tego konieczna potrzeba, to okrawka nigdy nie dają do zjedzenia zaraz, lecz zostawiają go na ju-

tro. Wierzą, że gdy bochen chleba wewnątrz jest rozdzielony, albo gdy na nim skórka odstanie, to ktoś z domowników umrze lub się oddzieli. Gdy chcą nowego kota lub psa przywiązać do domu, ażeby nie uciekał, dają im kawałek chleba, który wprzód trzy razy okręcili koło głowy lub około słupka przy piecu.

Oto mniej więcej wszystko, czego mogłem się dowiedzieć o chlebie i zwyczajach, zachowywanych przy jego wypiekanu. Na pewno, jest to tylko cząstką tego, co dawniej zachowywano przy tej czynności. Ale lud dzisiejszy całkiem inaczej się już dziś zapatruje na to, w co dziadowie ich i ojcowie jeszcze wierzyli święcie. Wielu nawet wstydzi się wspominać o tem, że kiedyś tam czyniono jakies praktyki guślarskie. Przejdzie jeszcze jedno pokolenie, a i te resztki zaginą na zawsze, jeżeli się ich nie wyratuje z toni zapomnienia.

Wandalin Szukiewicz.



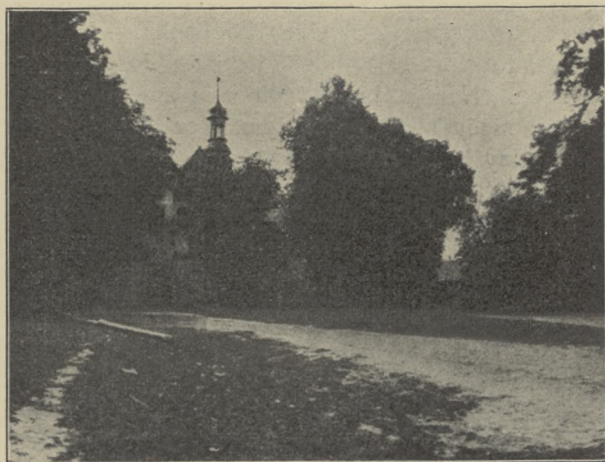
Z P. T. Krajoznawczego.



+ Wycieczki wakacyjne mają powodzenie. Po udanej wyprawie do Starego Otwocka, odbyła się również pomyślnie do Żelazowej Woli. Prowadził ją p. Kazimierz Maszki. Wycieczkę do Miedzeszyna z po-

wodu dżdżystej i wietrznej pogody odłożono na niedzielę 18 b. m. Prowadził wycieczkę pan Szełążek. Z powodu niskiego stanu wody w Wiśle wycieczka powróciła nie łodzią, lecz koleją. 25 sierpnia poprowadzi wycieczkę do Raszyna i Falent p. Al. Janowski.

× Działalność Oddziału Kieleckiego o Pol. Tow. Kr. w miesiącach czerwcu i lipcu



KOŚCIÓŁ W ROGOWIE.

fot. Wł. Kosterski.



DWÓR W RADWANOWIE.

fot. Wł. Kosterski.

polegała głównie na urządzeniu wycieczek i przyjmowaniu w muzeum gości, przeważnie zamiejscowych, przyjezdnych.

Wycieczek dotychczas odbyło się 9; z tych cztery popołudniowe w okolicy pobliskiej: do Chęcin (26 maja) wraz z gośćmi łódzkimi, do nowego szybu Barbary i trzech źródeł, na Wietrznią, t. zw. Telegraf i Bukówkę, wreszcie do Bobrzy i na Miedzianą górę; trzy całodzienne do Kij i Pińczowa, na św. Krzyż, na Łysicę i do Mochocic; dwie dwudniowe: do Ojcowa i Pieskowej Skály przez Olkusz, druga do Rogowa nad Wisłą przez Busko, N. Korczyn, Opatowiec. Największą liczbę uczestników (34



osoby) miała wycieczka do nowego szybu Barbary, najmniej zaś wycieczki do Pińczowa oraz Rogowa (po 5 os.); we wszystkich dziewięciu uczestniczyło razem 146 os.

Gorące uznanie za gościnność należy się tu państwu Nowakowskiemu w Pińczowie, p. J. Ślaskiemu w Rogowie i włościaninowi Stan. Rzęsistemu w Miedzianej Górze, który u wrót swojego domu siwa przyjmował gości chlebem i solą.

Wycieczka na Powiśle do Rogowa była ciekawa i pouczająca. Miejscowość ta, własność ks. ze Skórzewskich Ogińskiej, leżąca na brzegu starego koryta Wisły, 20 w. od N. Korczyzna w górę rzeki, mniej dostępna z powodu dróg niesposobnych i znacznej odległości od kolei, posiada osobliwość w tych stronach, mianowicie dawny dwór (pałac) piętrowy z modrzewia, zbudowany r. 1685 w kwadrat, z dach łamanym t. zw. mansardowym. Bogate urządzenie wewnętrzne, ozdoby drzewne na pułapach i ścianach artystycznie wykonane, dawne meble, pająki szklane, olbrzymi gobelin, dawne zegary, portrety i obrazy, czynią z tej przyjemnej siedziby muzeum w swoim rodzaju. Z murowanej baszty o 4-ch piętrach obok stojącej, roztacza się piękny widok na urodzajne Powiśle, pokryte bogatą roślinnością. Opoдал palacu modrzewiowy kościół parafialny, czysty i dobrze utrzymany, oraz nowa plebania, również modrzewiowa.

Gościom zamiejscowym, przybywającym do Kielc lub tylko przejeżdżającym tędy, udzielano w miarę możliwości wskazówek co do noclegu, miejsc godnych widzenia i dalszej drogi. Noclegi odbywały się zwykle w męskiej szkole handlowej. W księdze pamiątkowej zwiedzających zbiory Oddziału zapisało się w ciągu tych dwu miesięcy 216 osób, z których było 126 gości zamiejscowych, t. j. 38 łodzian i 88 os. młodzieży szkolnej z Ursynowa, łódzkiej szk. handlowej, warszawskich im. Reja, Kujawskiego, Chrzanowskiego, radomskiej handlowej i lubelskiej handlowej.

Członek Oddziału, p. Zdzisław Lenartowicz, badał cmentarzysko przedhistoryczne we wsi Czechowie pod Pińczowem; plon tych poszukiwań w postaci pokryw i grobu ciepłopalnego kloszowego (pod dzwonem) ze szczątkami spalonych kości powiększył zbiory Oddziału.

Liczba członków Oddziału zapisanych na rok bieżący wynosi 99.



Nowe książki.

Dr. W. Miklaszewski, Rozwój cielesny proletariatu Warszawy w świetle pomiarów antropometrycznych. Warszawa 1912 rok. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolfja.

Praca dr. Miklaszewskiego składa się z XVI rozdziałów, traktujących o niektórych cechach antropologicznych i rozwoju cielesnym noworodków,

dzieci, młodzieży, ludzi dojrzałych i starców zśród warstw uboższych Warszawy.

Prócz tego autor mówi o chorobach, o użytkowaniu wysokości i tytoniu, życiu płciowym i byciu materialnym proletariatu warszawskiego. Dalej wreszcie, poświęciwszy nieco miejsca pomiarom klas uprzywilejowanych Warszawy, zestawia autor wyniki swych badań z wynikami niektórych innych uczonych, którzy badali ludność Królestwa Polskiego i Warszawy.

We wstępie do swej pracy autor podaje smutny fakt barbarzyńskiego traktowania materiałów naukowych. Mianowicie przed kilkunastu laty dr. Miklaszewski, będąc lekarzem „Tow. kolonii letnich“ w Warszawie, zbadał parę tysięcy dzieci naszego proletariatu. Materiał ten posłużył jedynie do bardzo ogólnikowego sprawozdania w roczniku Tow., a schematy, zawierające dużo ciekawych szczegółów, zasługujących na uwzględnienie, zostały niestety sprzedane na funty.

Byłoby rzeczą niezmiernie pożądaną, gdyby materiały podobne nie były niszczone nawet i po napisaniu pracy, lecz oddawane były, po zużytkowaniu ich przez autora, do przechowania Pracowni Antropologicznej T. N. W. W ten sposób materiał raz już zużytkowany, mógłby jeszcze nieraz być uwzględniony ponownie przez tego samego lub innych autorów, w tym samym lub innym celu. Nie uwłaczałoby to niczem prawu i godności autorskiej, a udostępniłoby dla innych autorów operowanie większymi liczbami zbadanych osobników.

Żałować też należy bardzo, że autor nie podał w swej pracy tablic z wykazem tych materiałów, które udało mu się zachować i na których oparł swe wnioski, a ograniczył się jedynie do przytoczenia tablic, będących ilustracją jego wywodów. Stanowi to poważną wadę pracy dr. Miklaszewskiego. Szkoda również, że rysunki zostały brzydko wykonane.

Autor zachęca gorąco swych kolegów lekarzy, aby poświęcili trochę czasu antropometrii, do czego mają tyle dobrej sposobności. Oczywiście należy temu tylko przyklasnąć — z tem jednakże zastrzeżeniem, że spostrzeżenia zapisywać potrzeba nie w zeszytach porubrykowanym jak radzi autor, lecz na oddzielnych kartkach dla każdego osobnika badanego, ułatwia to bowiem ogromnie opracowanie zgromadzonego materiału.

Również radziłbym posługiwać się przyrządami specjalnymi do badań antropologicznych, w sprawie otrzymania których porozumieć się należy z Pracownią Antropologiczną Towarzystwa Naukowego Warszawskiego; nie tylko dostarczy ona wszelkich informacji i schematów, lecz i postara się użyć instrumentów potrzebnych do badań.

Wywody swoje opiera autor na bardzo obfitym materiale, mianowicie na 7828 spostrzeżeniach własnych u proletariatu warszawskiego i 277 u klas zamożnych. Przytoczę tu wnioski ciekawsze.

Autor porównyując rozwój cielesny dziewcząt polskich z żydowskimi, przekonał się o przewadze



polek i o tem, że pod względem wzrostu i wagi polki trzymają się nawet powyżej niemieckich norm przeciętnych.

Również badania nad rozwojem cielesnym chłopców proleteryatu Warszawy wykazały, że żydzi pod każdym względem przedstawiają się mniej korzystnie od polaków.

Autor dochodzi do przekonania, że z pośród dzieci ludu Warszawy wykazują rozwój najlepszy chłopcy polacy, potem żydzi, dalej dziewczęta polki i najgorszy żydówki.

Ciekawe są bardzo rezultaty badań autora nad materiałem zgromadzonym w Instytucie położniczym w Warszawie.

Okazuje się, że noworodki polaków rozwinięte są znacznie lepiej od noworodków żydów — w tym stopniu, że chłopcy żydowscy wykazują pomiary gorsze niż nawet dziewczęta polskie.

Interesujący również jest wniosek wyprowadzony przez autora, że dzieci pierwotne wykazują wymiary mniejsze niż pochodzące od wieloródek (do 7 noworodka włącznie).

W związku z tym autor twierdzi, że charakterystyczny dla żydów wzrost niski może być wynikiem systemu przyjętego u nich — przywilejowania pierwotnych potomków, którzy są gorzej rozwinięci od następnych.

Badania nad noworodkami wykazały również, że dzieci nieprawie mają wymiary mniejsze niż prawe.

Pomiary noworodków uwydatniają już różnice narodowościowe. Mianowicie nie tylko żydzi, lecz francuzi i włosi wykazują niższą wagę zaraz po urodzeniu, niż polacy.

Różnica ta dosięga aż 700 gramów.

Niższy więc wzrost rodziców z proletaryatu nie wpływa na noworodków w tej mierze, co czynnik rasowy.

Natomiast w pierwszym już roku życia ujawniają się różnice społeczne i ekonomiczne w rozwoju niemowlęcia, które powiększają się z biegiem lat tak znacznie, że pomiary dzieci w wieku szkolnym wskazują różnice nie tylko pomiędzy uprzywilejowanymi uczniami szkoły handlowej a dziećmi z kolonii letnich, ale nawet pomiędzy uczniami szkół ludowych, w zależności od położenia ich na krańcach lub też w środku miasta, bo tam mieszka proletaryat najuboższy, tu zaś — trochę zasobniejszy.

Otyłość żydówek w wieku starszym autor uważa za dziedziczną cechę rasową. Z całego bowiem proletaryatu Warszawy jedyne tylko żydówki tyją pomimo trudnych warunków materialnych i ohydnych — zdrowotnych.

Z badań nad materiałem, zgromadzonym przez jednego z lekarzy pracujących w towarzystwie ubezpieczeń na życie, autor otrzymał ciekawy fakt, że wiek przeciętny, kiedy zjawia się troska o przyszłość własną i rodziny, jest wcześniejszy o całe 2 lata u żydów, niż u polaków wogóle. Zwłaszcza szlachta zdradza brak przezorności, bo przeciętna wieku jej ubezpieczania się opóźnia się jeszcze o rok jeden, podczas gdy mieszczaństwo polskie zaznacza tu większą zapobiegliwość.

Autor występuje z ostrym temperamentem przeciw niektórym niedomogom społecznym, wszakże niejednokrotnie zapal polemiczny i publicystyczny uosi go poza ramy treści jego pracy naukowej.

Np. na stronie 166 autor mówi, że stopień rozszerzalności klatki piersiowej przy wdechu u szlachty, mieszczań, proletaryuszów polskich, żydów uprzywilejowanych i ubogich — jest odzwierciedleniem swobody i przywilejów stanów w dawnej Polsce, rodzący ich pracy i warunków bytu (!?).

Umiejętność głębokiego oddychania na żądanie, wyłączając oczywiście objawy natury patologicznej, prędzej powiązać należy ze stopniem ogólnego rozwoju intelektualnego osobników badanych. Tak samo jak człowiek o głębszym poziomie intelektualnym wyciska nieraz więcej na przyrządzie do mierzenia siły mięśniowej od silniejszego o wiele w porównaniu z nim, lecz mało inteligentnego osobnika, tak też człowiek inteligentny potrafi głębiej odetchnąć od człowieka mało inteligentnego, bo rozumie dobrze, czego odeń żąda badający. Wszak autor sam mówi, że żydzi przeważnie nie rozumieją o co chodzi, gdy się żąda od nich głębokiego odetchnięcia. A więc czynnik — niezrozumienia żądania, z tych lub innych powodów, wchodzi tu w grę.

Autor zupełnie słusznie występuje przeciw twierdzeniu o zwyrodnieniu i skarleniu proletaryatu Warszawy. Zachodzi tu zdaniem jego raczej tylko zagłodzenie.

Najzupełniej popiera to twierdzenie fakt, że gruźlica wśród polaków stanu upośledzonego (13,1%) nie wykazuje większego rozpowszechnienia — w porównaniu z uprzywilejowanym.

Natomiast u żydów wynosi ta rubryka aż 25,6% chorych, czyli dwa razy więcej.

Zdaniem autora w istniejących warunkach życia i pracy uważać należy rozwój cielesny polaków za wyraz wielkiej odporności ustroju, bynajmniej zaś nie za przejaw zwyrodnienia, charłactwa, jak to twierdzili niektórzy uczeni i publicyści. Zdanie to jest najzupełniej słuszne.

K. Stolyhwo.

TREŚĆ: Stanisław Lencewicz — O znaczeniu wykopalisk. M. Federowski — Zbiory graficzne Dom. Witke-Jeżewskiego w Głębokiem (c. d.). Włodzimierz Antoniewicz — Z wycieczek po Galicyi (z 7 ryc.) Wandalin Szukiewicz — Zwyczaje przy wypiekaniu chleba w powiecie lidzkim. — Z Polskiego Tow. Krajoznawczego (z 2 ryc.). — Nowe książki.

Winiętą tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki. — Odbito w tłoczni A. Pęczalskiego i K. Marszałkowskiego. — Składał i łamał Ignacy Poniatowski. — Odbijał na maszynie Jan Janczak. — Klisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki. — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwieć.